

## ESEJ

# 25 LAT PO PRZEŁOMIE

### EDMUND WNUK-LIPIŃSKI

prof. socjologii, autor wielu prac z dziedziny socjologii polityki. Uczestniczył w rozmowach Okrągłego Stołu, był doradcą Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego. Był założycielem i pierwszym dyrektorem Instytutu Studiów Politycznych PAN, rektorem Collegium Civitas. Obecnie kieruje Instytutem Socjologii w Collegium Civitas. Ostatnio opublikował książki: *Świat międzyepoki. Globalizacja – demokracja – państwo narodowe* (2004), *Socjologia życia publicznego* (2005 i 2008).

Upadek komunizmu w Polsce nie był jednorazowym aktem ani – tym bardziej – znową elit (jak chcą wyznawcy rozmaitych teorii spiskowych). Fenomenowi tego nie da się też wytłumaczyć jednostronnymi analizami, w których absolutyzuje się rolę wybranego czynnika, ignorując działania pozostałych. Był to wielowątkowy, skomplikowany proces społeczny, napędzany całym splotem czynników niekiedy wywołujących efekt synergiczny, a kiedy indziej neutralizujących się wzajemnie. Czy wobec tego jesteśmy bezradni poznawczo i nie potrafimy wskazać – choćby w przybliżeniu – podstawowych przyczyn, które w końcowym rezultacie doprowadziły do przełomu? Nie jest tak źle. Godząc się na nieuniknione uproszczenia, można jednak analitycznie wykreślić pewną trajektorię zmian, których kumulacja doprowadziła do upadku komunizmu w Polsce, a następnie – na zasadzie kostek domina – wymiotła ten system z innych krajów bloku sowieckiego, by w końcu doprowadzić do kulminacji, którą był rozpad samego ZSRR.

Przede wszystkim warto zwrócić uwagę na fakt, iż komunizm – w odróżnieniu od nazizmu – trwał dostatecznie długo, by podlegać wewnętrznej ewolucji. Jeśli przyjmiemy założenie, że totalitarna faza tego systemu była jego modelową wersją, czy też Weberowskim typem idealnym, to musimy stwierdzić, że model ten nie trwał długo (gdy pominąć przypadek Korei Północnej). W Polsce zaledwie kilka lat – z grubsza od 1948 r., kiedy w wyniku wchłonięcia przez komunistów Polskiej Partii Socjalistycznej zlikwidowano resztki pluralizmu politycznego, do 1955 r., kiedy dały się zauważyć pierwsze oznaki odwilży. Tak więc komunizm, z którym mieliśmy do czynienia w latach późniejszych, był już inny. Juan Linz i Alfred Stepan określają ten system mianem dojrzałego posttotalitaryzmu<sup>1</sup>.

Erozji podlegała także ideologia komunistyczna, która w tamtym systemie spełniała niezwykle ważną rolę substytutu legitymizacji władzy. W tym wymiarze przełomem okazał się 1956 r. w Polsce i na Węgrzech. W Polsce zaowocował on rewizjonizmem (czyli zakwestionowaniem dogmatów ideologicznych), na Węgrzech – po krwawym rozprawieniu się przez Armię Radziecką z powstaniem – „gulaszowym komunizmem” (pragmatycznym odej-

<sup>1</sup> J. Linz, A. Stepan, *Problems of Democratic Transition and Consolidation. Southern Europe, South America, and Post-Communist Europe*, Baltimore – London 1996.

ściami od totalitarnych dogmatów ideologicznych, jeśli brak wiary w ideologię nie naruszał kierowniczej roli partii komunistycznej). Spóźnionym echem polskiego rewizjonizmu były próby wewnątrzsystemowej reformy komunizmu (budowa „socjalizmu z ludzką twarzą”) w Czechosłowacji w 1968 r., stłumione przez wojska Układu Warszawskiego. W rezultacie w Czechosłowacji nastąpiła „normalizacja” w stylu Gustáva Husáka, czyli cofnięcie się do dogmatycznej wersji systemu (choć naturalnie niedokładnie takiej samej jak w okresie stalinowskim). Pojawiła się także tzw. doktryna Breżniewa, która zawierała się w niewinnym na pozór zdaniu „Nie zostawimy naszych przyjaciół w biedzie”, a w istocie oznaczała polityczną podstawę siłowego tłumienia aspiracji wolnościowych na peryferiach imperium sowieckiego.

Dekada lat siedemdziesiątych zakończyła się w Polsce ciężkim kryzysem gospodarki centralnie planowanej. W 1979 r. nastąpił spadek dochodu narodowego, a tym samym zaczęła się rozwierać luka między aspiracjami konsumpcyjnymi społeczeństwa (wzbudzonymi zaciąganyymi na Zachodzie kredytami) a możliwościami niewydolnego systemu gospodarczego. Zawiedzione aspiracje mas – o czym przekonywał już Tocqueville w odniesieniu do rewolucji francuskiej – są potężnym czynnikiem zmian społecznych, bowiem wywołują powszechną frustrację.

W tym kontekście należy rozpatrywać wybór Karola Wojtyły na Stolicę Piotrową. Przywódcy komunistyczni, zarówno w Warszawie, jak i w Moskwie, zdawali sobie sprawę z politycznych problemów, jakie ten wybór może wywołać<sup>2</sup>, ale zapewne nie spodziewali się, że będą one brzemiennie w aż tak poważne skutki. Tymczasem dla polskiego społeczeństwa wyniki konklawe były – jak mówią o tym niezliczone świadectwa – źródłem nowej nadziei na odmianę losu. Pielgrzymka Jana Pawła II do Polski – mimo zaniepokojenia Kremła – była nieunikniona, bowiem jej uniemożliwienie groziło wybuchem rozruchów na tle religijnym, które szalenie trudno byłoby wygasić.

Wizyta papieża w Polsce w 1979 r., zbiegająca się z otwartą już fazą kryzysu ekonomicznego, uruchomiła procesy, nad którymi władze komunistyczne nie były w stanie zapanować. Pominę czysto religijne aspekty (które oczywiście były nie bez znaczenia dla duchowego ożywienia znacznej części Polaków) i skupię się na konsekwencjach społecznych. Jan Paweł II, przyjeżdżając do Polski – *nolens volens* – naruszył trzy filary, na których wspierał się system komunistyczny. Po pierwsze przełamał izolację społeczną. Po drugie złamał obowiązujący w życiu publicznym kod dyskursu, kontrolowany przez cenzurę prewencyjną. Po trzecie wreszcie zaangażowanie dziesiątek tysięcy wolontariuszy uświadomiło Polakom potęgę oddolnej samoorganizacji poza strukturami komunistycznego państwa.

Wszystko to rok później przyczyniło się do powstania Solidarności. Tutaj jednak trzeba być możliwie precyzyjnym, aby uniknąć nieporozumień. Nie twierdę, że pierwsza wizyta papieża w Polsce była bezpośrednią przyczyną powstania Solidarności. Pogląd taki – pojawiający się tu i ówdzie w piśmiennictwie – można bowiem łatwo zakwestionować, choćby przywołując przykłady odwiedzanych przez papieża niedemokratycznych krajów (Kuba, Nikaragua czy niektóre kraje afrykańskie), które nie weszły na ścieżkę demokratyzacji i respektowania praw człowieka. Doświadczenia z pierwszej pielgrzymki papieża do Polski zostały wprawdzie wykorzystane w procesie budowy masowego ruchu społecznego, ale sama pielgrzymka odegrała raczej rolę katalizatora niż bezpośredniej przyczyny. Potencjał zmiany istniał już wcześniej, a jego źródła można by zapewne poszukiwać w niespełnionych obietnicach konsumpcyjnych dekady Gierka.

Aby dopełnić listy czynników wewnątrz krajowych, które miały swój udział w doprowadzeniu systemu komunistycznego do upadku, wspomnieć należy o rozmaitych ugrupowaniach dysydenckich powstałych w Polsce w dekadzie lat siedemdziesiątych, zwłaszcza

<sup>2</sup> G. Weigel, *Świadek nadziei*, Kraków 2005, s. 355–360.

o Komitecie Obrony Robotników w Warszawie i gdańskich załączkach kontrolności w postaci Wolnych Związków Zawodowych i Ruchu Młodej Polski. Bowiem te właśnie środowiska dysydenckie nadały formę owemu potencjałowi zmiany, który ujawnił się latem 1980 r.

Pojawienie się Solidarności w życiu publicznym komunistycznego przecieku kraju było ewenementem, który na dłuższą metę nie mógł trwać, bowiem autonomiczny w stosunku do władz ruch społeczny był całkowicie niekompatybilny z systemem. Coraz jaśniejsza stawała się alternatywa: albo Solidarność zmieni system, albo system zniszczy Solidarność. Pokusa ponownego zastosowania doktryny Breżniewa była duża. Z ujawnionych dzisiaj dokumentów wiemy, że od początku grudnia 1980 r. w stanie gotowym do inwazji na Polskę znajdowało się piętnaście dywizji sowieckich, dwie czeskosłowackie i jedna wschodnoniemiecka<sup>3</sup>. Jednak w owym czasie prezydentem Stanów Zjednoczonych był Jimmy Carter, a jego doradcą do spraw bezpieczeństwa – Zbigniew Brzeziński, który doskonale znał polskie realia. Zdecydowana reakcja administracji Cartera prawdopodobnie powstrzymała inwazję, ale kryzys systemowy w Polsce się pogłębiał.

Stan wojenny nie zażegnał kryzysu, lecz wprowadził go w fazę utajoną. Solidarność wprawdzie została wypchnięta z życia publicznego do podziemia, ale nie została zniszczona. Operacyjnie stan wojenny się udał, jednak nie zdołał doprowadzić ani do osiągnięcia celów gospodarczych, ani też politycznych. Gospodarka coraz mocniej pogrążyła się w kryzysie, a polityczne manewry ekipy Jaruzelskiego (Patriotyczny Ruch Odrodzenia Narodowego czy Rada Konsultacyjna, do której weszło kilka opozycyjnie nastawionych osób) nie przyniosły spodziewanych skutków; podziemna Solidarność – choć osłabiona – dla większości społeczeństwa nadal była ważnym punktem odniesienia przy formowaniu własnych postaw.

Tymczasem w połowie lat osiemdziesiątych na Kremlu zaszła istotna zmiana. Gerontokratyczne

rzędy partyjnych starców ustąpiły miejsca dynamicznemu Michajłowi Gorbaczowowi, który zapragnął tchnąć nowe idee w skostniały system, przegrawszy ze Stanami Zjednoczonymi wyścig technologiczny. Polityka pierestrojki i *glasnosti* postawiła pod znakiem zapytania nie tylko doktrynę Breżniewa, ale także stosowany nieformalnie, choć szeroko, substytut legitymizowania się władzy komunistycznej w Polsce („jeśli nie polscy komuniści, to będą radzieccy”).

Fakt ten zasadniczo zmienił warunki brzegowe możliwych scenariuszy rozwoju sytuacji w Polsce. Pojawiła się szansa systemowej alternatywy, choć możliwości jej realizacji były raczej mgliste. Niemniej jednak pozbawienie Jaruzelskiego istotnego instrumentu panowania, jakim był straszak doktryny Breżniewa, prawdopodobnie zmusiło władze komunistyczne do rozejrzenia się za planem awaryjnym. Mogło nim być jedynie pójście na kompromis z solidarnościową kontrolnością.

Kiedy doszło do rozmów Okrągłego Stołu, nikt nie zdawał sobie w pełni sprawy z konsekwencji systemowych. Komunizm w modelowej, czyli totalitarnej, formie nie negocjuje swojego istnienia z opozycją, lecz ją likwiduje. Ale system, który pod koniec lat osiemdziesiątych istniał w Polsce, daleki był od ortodoksji modelowej; instytucjonalną podstawę władzy stanowiła armia, a nie partia. Ekipa Jaruzelskiego miała świadomość, że koniecznych reform gospodarczych nie da się przeprowadzić bez przyzwolenia społecznego, a tego nie uzyska się bez kompromisu z solidarnościową kontrolnością. Z kolei strona solidarnościowa przystępowała do rozmów bez nadmiernych oczekiwań, lecz jeden cel nie podlegał dyskusji: ponowne wejście w przestrzeń życia publicznego, czyli przywrócenie Solidarności statusu organizacji legalnej.

Jednak wybory 4 czerwca 1989 r. zasadniczo zmieniły sytuację polityczną. Ich plebiscytowy charakter sprawił, że władza komunistyczna utraciła ostatnie pozory legitymizacji. Wszak kandydaci PZPR nie zdo-

<sup>3</sup> A. Lubowski, *Zbig. Człowiek, który podminował Kreml*, Warszawa 2011, s. 230.

łali wygrać nawet w tzw. obwodach zamkniętych (wojsko i milicja), co było dla starej elity władzy wyraźnym sygnałem, że „opcja siłowa” jest skrajnie ryzykowna i może zakończyć się wojną domową. Wprawdzie elita ta utrzymywała przez jakiś czas pozory kontrolowania sytuacji, o czym świadczyć mogło powierzenie tworzenia rządu Czesławowi Kiszczakowi, ale po fiasku jego misji przełom był już nieunikniony. To był koniec starego systemu w Polsce. Usunięcie polskiego składnika z bloku sowieckiego tak dalece naruszyło jego stabilność i było tak silnie wzorotwórcze, że w kolejnych krajach na obrzeżach imperium system zaczął upadać, ale agonia trwała jeszcze dwa lata. Dopiero po nieudanym puczu Janajewa i rozwiązaniu Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego w 1991 r. można było z całym przekonaniem stwierdzić, że światowy system komunistyczny przestał istnieć.

Dziś, gdy patrzymy na tamte wydarzenia z perspektywy ćwierćwiecza, warto uświadomić sobie przynajmniej dwa fakty, które umykają naszej uwadze pod naporem bieżących i na ogół błahych konfliktów politycznych. Po pierwsze, od czasu I Rzeczypospolitej Polska nie przeżywała tak długiego okresu pokojowego rozwoju. Mamy w kraju skonsolidowaną demokrację. Wprawdzie pojawiają się na publicznej scenie siły nacjonalistyczne, które chciałyby tę konsolidację naruszyć, a może nawet obalić demokrację (jak wynika z deklaracji liderów nurtów narodowych, otwarcie atakujących „republikę okrągłostołową”), ale – przynajmniej na razie – nie zyskują one znaczącego poparcia społecznego.

Po drugie, kiedy kontrolita solidarnościowa obejmowała władzę i odpowiedzialność za kraj dwadzieścia pięć lat temu, polska gospodarka była w stanie rozpadu, przestarzała infrastruktura z trudem spełniała podstawowe wymogi eksploatacyjne (a i to nie zawsze), a wykształcenie Polaków oraz ich standard życia były na żenująco niskim poziomie. Polska

dźwiga się z upadku z zadziwiającą skutecznością, a wymykanie się z pułapki zacofania wyraźniej widać z zagranicy niż ze środka. Produkt krajowy brutto podwoił się, spadła wyraźnie śmiertelność niemowląt i wydłużyła się średnia długość życia. Poziom scholaryzacji polskiego społeczeństwa podniósł się z niespełna 10 proc. w 1990 r. do ponad 40 proc. w 2011 r.<sup>4</sup> Zatem wszystkie najistotniejsze wskaźniki poziomu cywilizacyjnego poszły zdecydowanie do góry. Nasze granice są bezpieczne, a kraj znajduje się w korzystnych strategicznie sojuszach gospodarczych, militarnych i politycznych (Unia Europejska i NATO). To wszystko zaliczyć trzeba do niewątpliwych sukcesów minionego ćwierćwiecza. Na tle innych krajów regionu, które miały zbliżony punkt startu, wypadamy dobrze, a w niektórych wymiarach nawet bardzo dobrze. Trochę to nie pasuje do głęboko zakodowanego w naszej tradycji przekonania, że wprawdzie chcemy dobrze, ale albo nam się nie udaje, albo też inni nie pozwalają rozwinąć nam skrzydeł. Toteż zdecydowana większość Polaków – w odróżnieniu od obserwatorów zagranicznych – skłonna jest te dane lekceważyć lub traktować jako przejaw propagandy sukcesu czy wręcz zakłamanie rzeczywistości.

Nie oznacza to, rzecz jasna, że radykalne zmiany społeczne w aspekcie awansu cywilizacyjnego miały wyłącznie pozytywny przebieg. Ponieważ jestem socjologiem, skupię się jedynie na niepokojących zjawiskach, które tkwią w samej tkance społecznej i nic nie wskazuje na to, by miały niebawem wygasnąć. Najbardziej dramatycznie przedstawia się kwestia zaufania społecznego. Według badań CBOS zaledwie 23 proc. Polaków darzy współrodaków zaufaniem<sup>5</sup>, a w badaniach zespołu prof. Janusza Czapińskiego wskaźnik ten jest jeszcze niższy, bo oscyluje wokół 10 proc.<sup>6</sup> Niski poziom zaufania społecznego (jeden z najniższych w Europie) podwyższa koszt wszystkich transakcji, psuje codzienne relacje z bliźnimi,

<sup>4</sup> *Szkolnictwo wyższe w Polsce*, Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego, Warszawa 2013, s. 3.

<sup>5</sup> *Zaufanie społeczne. Komunikat z badań*, CBOS, Warszawa 2012, s. 1.

<sup>6</sup> *Diagnoza społeczna 2013. Warunki i jakość życia Polaków*, red. J. Czapiński, T. Panek, Rada Monitoringu Społecznego, Warszawa 2013, s. 294.

a także stanowi żywną glebę do rozkwitu postaw skrajnie partykularnych. Cierpi na tym oczywiście konieczne w każdej wspólnocie dbanie o dobro wspólne, które – jak wiadomo – nie jest prostą sumą dóbr partykularnych.

Drugim niekorzystnym zjawiskiem, tym razem wywołanym przede wszystkim przez klasę polityczną, jest głębokie pęknięcie wspólnoty narodowej z grubsza wedle sympatii partyjnych, a zwłaszcza sympatii dla dwóch największych partii: Prawa i Sprawiedliwości oraz Platformy Obywatelskiej. W warunkach demokratycznych różnicowanie się preferencji partyjnych jest czymś naturalnym. Jednak w Polsce podziały te są o wiele głębsze niż zwykłe różnice preferencji politycznych. Są one na tyle głębokie, że wytwarzają fundamentalnie odmienne opisy i interpretacje rzeczywistości społecznej; to, co w jednym opisie jest sukcesem, w opozycyjnej interpretacji jest klęską; to, co w jednej narracji jest pracą na rzecz dobra wspólnego, w narracji alternatywnej jest wybitnym szkodnictwem. Podziały te są tak intensywne, że niemożliwe jest ustalenie pewnego minimalnego zestawu dobrze zdefiniowanych interesów narodowych, co do których panowałaby powszechna

zgoda. Żywi te podziały nie tyle odmienność programów, ile głęboka wzajemna niechęć, a nawet nienawiść, czyli bardzo silne emocje, które zostawiają niewiele miejsca na kompromis i myślenie w kategoriach dobra całej wspólnoty. Tak intensywne emocje z pewnością spowalniają nasz rozwój, i to nie tylko dlatego, że konsumują energię społeczną, która z większym pożytkiem mogłaby zostać wykorzystana na osiągnięcie celów pozytywnych. Również dlatego, że sukcesy Polski pod rządami jednych partii są interpretowane jako klęska przez inne partie, znajdujące się akurat w opozycji. To jest niewątpliwa porażka, zwłaszcza jeśli uwzględnimy fakt, iż dzięki międzyludzkiej solidarności (która była przeciwieństwem relacji obecnie dominujących w życiu publicznym) udało się przetrwać opresję stanu wojennego i doprowadzić do upadku komunizmu.

Niemniej jednak w sumarycznym bilansie naszej radykalnej zmiany postkomunistycznej saldo jest zdecydowanie dodatnie. I jeśli nie pojawią się jakieś poważne zaburzenia społeczne, które mogłyby zepchnąć nas z korzystnego kursu rozwojowego, to z umiarkowanym optymizmem można patrzeć w przyszłość.